

Gnejusz Pompejusz

Krew. Sporo krwi.

Trójka młodziaków leżała bezbronnie, karminowa ciecz malująca porozrzucone noże i sztylety powoli osychała. Nieruchome dłonie pewnego z nich spoczywały na brzuchu, jakby próbując uśmierzyć ciągnący się ból. Grzmiały głosy – rozpacz, złości czy niezrozumienia. Opadły krople deszczu, smagające nieżywe (według ówczesnej definicji śmierci) głowy nastolatków. Jakkolwiek obeznani z arkanami pierwszej pomocy uciskali ich klatki piersiowe, próbowali sztucznego oddychania. Bezskutecznie. Żadne z serc nie pulsowało, nie biło.

Obok zaparkował oznakowany firmowym logo, biały van. Bezzwłocznie otworzyły się tylne drzwiczki, wyfrunęli medycy odziani w charakterystyczne lekarskie kitle. Umieścili zmarłych na noszach, po czym zaczęli pokrywać ich ciała ochładzającymi kompresami. Największą ilość lodu osadzili na głowach. Mózg, centrum ludzkiej świadomości, mógł przecież przetrwać mimo śmierci reszty narządów.

Niedługo później odjechali, pędząc do placówki medycznej.

Niban płynnym ruchem chiburui strząsnął ciecz z katany, po czym z ceremonialną dbałością schował ją do pochwy. Rozpłątany po przekątnej cel rozdzielił się na dwie części, z których jedna bezwiednie opadła na ziemię.

„To ciało jest o niebo sprawniejsze” – wywnioskował, zawieszając wzrok na najbardziej ludzkiej dłoni, jaką mógł sobie wyobrazić. „Ale nie jest moje”.

Krople opadały na matę tatami pokotem, niemalże w równych odstępach. W ostatnim czasie jakość bambusowych rur używanych przez Nibana drastycznie zmalała, czego pokłosie tkwiło w niewysuszonych wnętrzach większości z nich. Woda utrudniała zadanie efektywnego i precyzyjnego cięcia, co wszakże nie przeszkadzało kriogenicznemu szermierzowi; wręcz przeciwnie, dodatkowa uciążliwość sprawiała, że z podrzędnego rycerzyka wyrastał na pełnoprawnego samuraja. Tak jak tysiąc lat wcześniej, gdy jeszcze byli w swoich pierwotnych ciałach, Nibanowi przyświecała tylko jedna idea.

„Zmiażdżę Takumiego”.

Niban głęboko odetchnął, co wieściło koniec treningu. Wyciągnął katanę z pochwy i zaczął ją przecierać bawełnianą tkaniną. W rzeczywistości, wykonany wcześniej ruch chiburui nie wystarczał na pełne oczyszczenie ostrza z wody (lub, w przypadku ułucia ludzkiego przeciwnika – z krwi), niezbędne do zapobiegnięcia korozji. Żmudny i

niespektakularny proces tarcia klingi katany kawałkiem materiału miał tyle wspólnego z teatralnością i wysublimowaniem, co Niban z obecnym ciałem.

Po porannej sesji treningowej osiemnastolatek udał się do cyfrowej szafy w formie trójwymiarowego, interaktywnego ekranu, przywdziewając czarne kimono zdobione karminowymi kwiatami lotosu. Zresztą, przywdziewając to za dużo powiedziane – ubrania przyjmowały postać hologramów, funkcjonowały jak skórki w grach komputerowych. Za odpowiednią opłatą, firmy udostępniały imitację ubioru do własnego użytku, proponując klienteli szeroką paletę strojów – od tradycyjnych, regionalnych kolekcji, po najnowsze nowinki modowe. W Unii Europejsko-Azjatyckiej dozwolono klasycznej, fizycznej dystrybucji jedynie w przypadku bielizny, co stanowiło ewenement na skalę światową. Lwia część globu wieki temu postawiła na ekologiczne zamienniki.

Na półnagim ciele Nibana zmaterializowały się również hakama z szerokimi nogawkami oraz japońskie drewniane chodaki, zwane geta. Włosy związał w kok na modłę samuraja, ujednolicając swój ekstrawagancki wygląd, odpowiedni na ekstrawaganckie czasy.

Z bólem serca westchnął, rozmyślając o leżącej na widoku katanie i wakizashi. Bronie trudziły się każdego poranka, wyczekując jednak ostatecznego starcia, prawdziwego pojedynku, który nieuchronnie się zbliżał. Niban miał pewność, że orężę pomogą mu w dokonaniu zemsty i osiągnięciu rozstrzygającego zwycięstwa nad Takumim.

Gdyż od ponad tysiąca lat zawsze przegrywał.

Jako nieocenioną należy określić rolę bezpośrednich kontaktów interpersonalnych, których mogli doświadczać uczniowie Szkoły Reeducacyjno-Edukacyjnej. W czasach, gdy oświata przeniosła się do przestrzeni cyfrowej, przestarzały, stacjonarny sposób nauki wydawał się całkowicie pozbawiony sensu.

Odrębny system służył jednak tym, którzy w rzeczywistym świecie brodzili jak dziecko we mgle. Tysiąc, pięćset, czy osiemdziesiąt lat – epoka, w której ktoś poddał się krionice, miała elementarne znaczenie. Mimo to wszyscy kropka w kropkę gubili się w głębinach nowoczesnej technologii, nauki czy obyczajowości.

Dodatkowo, zdolności motoryczne przebudzonych pozostawiały wiele do życzenia. Ci, których poddano krionice w odległej przeszłości, przejawiali szeroką gamę problemów koordynacyjnych na linii mózg-ciało. niesprawne kończyny, dystrofie mięśni czy zaburzenia

trawienne – bolączki różnolitych pacjentów niemniej w żadnym stopniu nie umywały się do tych sponiewieranych przez los jak Niban.

— ...i właśnie wtedy Stany Zjednoczone ostatecznie ugięły się pod olbrzymim lobbieniem pozarządowych środowisk. Żadnych karabinków, pistoletów czy innych cuda-wianek, koniec. Fatalny dzień dla entuzjastów drugiej poprawki.

— Przecież to bez sensu! Dlaczego całkowicie zaprzestano produkcji?

Niban jak każdego dnia zgłębiał historyczną wiedzę rozmawiając na stołówce z Makoto, uczniem mającym łatkę klasowego anioła.

— Sam zobacz. — Sprawnie wyklikał obliczenia na tablecie. — Dla naboju o kalibrze dziewięciu milimetrów wychodzi około...trzydzieści miligramów CO2 na wystrzał. Co tak pokwaśniałeś? Przecież i tak wolisz broń białą. Musisz przyznać, jej to nie brakuje!

— Zmian od groma.

— A nie mówiłem ci jeszcze o najważniejszej. Byłeś niedawno w mieście? Na wszystkich billboardach widnieje ten sam staruch z kozią bródką, dwieście pięćdziesiąty prezydent Unii Europejsko-Azjatyckiej — tłumaczył. Niban przytaknął. — Gdy rządził, doszło do... no właśnie, czym to było? „Wielka Restrukturyzacja”. Brzmi podniośle, wybrzmiewa w każdym podręczniku i przemówieniu polityków, tym bardziej teraz, gdy zbliża się 100-lecie przeprowadzenia wspaniałej reformy.

— Kojarzę! Potrafią w marketing, nie ma co. Próbowałem zrobić research, niemniej w Internecie pustka — odparł, biorąc kęs gumowej kanapki.

Makoto przeszedł do szeptu.

— Korzystając z oficjalnych kanałów, niczego się nie dowiesz. Ostatnio przechadzałem się po rynku, gdy zaczepił mnie jakiś zamaskowany przybłęda. Polityczny gawędziarz, takich coraz mniej. Mamrotał o rewolucji i „prawdziwej zmianie, która ma dopiero nadejść”. Miał ze sobą mapy, wymyślne schematy. Ostrzegwał o końcu świata i tak dalej.

Niban wybałuszył oczy. Pośpiesznie przeżuwał jedzenie, pragnąc zadać chmurę pytań.

— Traktuj to z dystansem, to jednak dowód anegdotyczny. Współcześnie wariatów nie brakuje — podkreślił Makoto. W międzyczasie rozbrzmiał dzwonek kończący przerwę.

Uczniowie jak jeden mąż podreptali ku lekcyjnej salce.

— Dzisiaj czas na sprawdzenie waszych postępów. — Sędziwa, zgarbiona nauczycielka wymierzyła palcem w kierunku ławek po lewej. — Niech transferowani udadzą się do dojo na testy sprawnościowe — wymamrotała obojętnie. — Reszta, pozwiedzajcie szkołę czy róbcie, co chcecie.

Nieistniejące serce Nibana zabiło mocniej. Neutralny nastrój osiemnastolatka w okamgnieniu przemienił się w wewnętrzną irytację. Popatrzył na siedzącego po prawej Takumiego; nie musiał umieć czytać w myślach, by wychwycić na jego twarzy egoistyczną bez troskę. Usta oponenta niejako same wygięły się w nieznaczny, symboliczny uśmiech. Poczucie niekwestionowanej wyższości.

Dryfując w odmętach pesymistycznej imaginacji, Niban niczym zaprogramowany android skierował się ku dojo.

Skromna sala treningowa w domu Nibana nie dorastała do pięt szkolnemu odpowiednikowi. Kwadratowe maty tatami wydawały się emanować nieskazitelną czystością i miękkością, współgrając z żółtawymi ścianami wypełnionymi kunsztownymi obrazami kakemono, przedstawiającymi rozmaite pejzaże oraz japońską faunę. Przy wejściu do dojo widniały przymocowane do ściany drewniane półki z bambusowymi mieczami shinai. Obok rozłożono stojaki z umocowanymi na nich słomami ryżowymi, plastikowymi i szklanymi butelkami napełnionymi płynami, a nawet świeżymi arbuzami lub ananasami.

Jazgot przesiąkał zatłoczoną szatnie.

— Prawdziwe ubrania, to jest to! — krzyknął jeden z uczniów.

— Będzie mniej boleć, gdy powalę każdego z was na ziemię — odparł półzartem nieludzko muskularny, tęgi mężczyzna. — Dzisiaj wygram testy i dołączę do autentycznych. Nie będą mieli ze mną szans z tymi swoimi wiekowymi, miernymi ciałkami — zakończył.

— Wszyscy wiemy, że jesteś faworytem, Rokuro — wtórowali mu złęknieni gargantuiczną siłą uczniowie.

Niban naciągnął ostatnią rękawicę na przedramię, po czym nieco ją obrócił. Związał rzemyki i mocno ucisnął, momentalnie poczuł dotkliwy ucisk. Wystłużony, wielowiekowy materiał (nowych sztuk nie produkowano) dojmująco wgniatał się w skórę – nadgarstek osiemnastolatka skurczył się na skutek przygważdżającej siły, lecz ręka nabrała stabilności i precyzji.

„Szczęście, że nie mam układu krążenia” – skomplementował w myślach sam siebie.

— Wszystko w porządku? — Niban podskoczył ze zdziwienia, napotykając łagodne, niebieskawe oczy. Otaksował gładkie lico Makoto, poświęcając chwilę na obmyślenie odpowiedzi.

— Dzisiejszy dzień napawa stresem — wydusił niepewnie.

— Pełna zgoda. Powodzenia dzisiaj! Pamiętaj, że zwycięstwo nie jest najważniejsze, a wewnętrzny progres! — Poklepał Nibana po ramieniu, potraktował go motywującym uśmiechem, po czym odszedł.

Pierwsze pojedynki odsiały z rywalizacji grono słabeuszy niepotrafiących utrzymać miecza w dłoni. Kolejni pokonani schodzili do szatni, zdawszy sobie sprawę z braku szans na zwycięstwo. Rokuro był hegemonem – jego oponenti oddawali starcia walkowerem, a ci, którzy ośmieli się nadstawić karku, ponosili sromotne klęski. Osilek lubował się w mocarnych uderzeniach wymierzonych w rękawice kote, których intensywność masakrowała przedramię rywala. Oręż samoistnie wypadały z dłoni w serwilistycznym, unizonym geście.

„Skup się, Niban! Tak jak na treningu”.

Osiemnastolatek przyjął postawę Chūdan-no-kamae, ściskając z całych sił shinai w obu dłoniach. Ostrze trzymał na wysokości pasa, skierowane w kierunku przeciwnika. Neutralna pozycja – Niban cenił jej prostotę, gwarantującą zarówno możliwość skutecznego wyprowadzenia ataku, jak i szczelnej obrony.

Rywal zaszarżował pierwszy. Celował w men-bu, kratowany hełm Nibana. Ten jednak antycypował ruch, parując wymierzony atak, tak samo jak następną próbę draśnięcia, tym razem wymierzoną w lewy tors. Przeciwnik stracił tempo, co Niban niezwłocznie wykorzystał; shinai znalazł lukę i uderzył w szyję, trafiając prosto w punktowany gardziel. Natychmiast wrócił do Chūdan-no-kamae, a chwilę później nadzorujący pojedynek sensei zaanonsował o czwartym z rzędu zwycięstwie Nibana.

Obok wygranego w mgnieniu oka wyrosła potulna sylwetka Makoto.

— Niesamowite! Poczyniłeś olbrzymie postępy, moje gratulacje — uścisnął jego schowaną za rękawicą dłoń. — Cóż, przeszedłeś samego siebie. Topowa czwórka to nie przelewki. — Nieznacznie zszedł z pokornego tonu. — Wygląda na to, że w półfinale walczysz...ze mną! Intrygujące, nieprawdaż? Nie przejmuj się, zaszedłeś wystarczająco daleko, by samemu klepnąć się po ramieniu.

W żadnym wypadku. Świat depcze po przegranych. Osiemdziesiąte, trzynaste, a nawet drugie miejsce – to wszystko synonimy żalostnej nieudolności. Czy ktoś pamięta przeciwników Juliusza Cezara? Lucjusz Korneliusz Sulla, Katon Młodszy, a nawet sam

Gnejusz Pompejusz. Niezliczona liczba indywiduów, zupełnie anonimowa na tle tego jednego, który zawładnął wszystkim, krocząc drogą anihilacji wszelkich przeciwności.

Niban nie miał prawa się poddać. Ci, z którymi teraz się mierzy to podrzędne płotki, prawdziwy cel jest oczywisty. Nie dorwie Takumiego bez zwycięstwa w turnieju, warunkiem sine qua non jest zmiżdżenie tych, którzy stoją na jego wąskiej, usłanej obstrukcjami drodze.

„Kości zostały rzucone” — Zaciśnął pięści, gdy już znalazł się w szatni.

Niban zadrżał z zaskoczenia. Wybrzmiała kilkusekundowa, prosta symfonia – odgłos powiadomienia przebiegał się zza drzwiczek szafki Nibana. Właśnie wtedy na terenie szkoły podniósł się nieznośny, wrzaskliwy alarm.

Daichi spacerował korytarzami pogrążonej w mroku szkoły. Noktowizor rozświetlał ponure, niepasujące do współczesności rachityczne salki lekcyjne. Sporadycznie trafiający się obłąkańcy byli natychmiastowo uciszani pokrytym niebieskawą, usypiającą substancją sztychem. Aż tyle i tylko tyle. Po cóż sprawiać sobie dodatkowych kłopotów?

Impuls IEM wykonał swoją pracę wręcz wzorowo – dokładnie tak, jak tego oczekiwał Daichi. Mógł działać w pożądanym sposób, pod osłoną enigmatycznego milczenia, bez zbędnego zgiewku i krzyków.

„Zlecenie to zlecenie. Nikogo już nie skrzywdzę z własnej woli”

Mimo prozaiczności kolejnego zajęcia, którego się podjął, Daichi odczuwał w jelitach niepokojące poboiewania. Za każdym razem wieściło to ukrytą, słuszną trwogę przed następnymi wydarzeniami; nie pozostawało wprowadzić nic innego, jak wyjść im naprzeciw.

Wreszcie dotarł do wyłożonego księgami, monstrualnego archiwum. Śmignął przez część otwartą dla zainteresowanych grzebaniem w ugrzeczniczonych dokumentach.

Różnorakie teczki we wszystkich kolorach tęczy, pękające w szwach skoroszyty zapewne wypełnione banialukami – listami zamierzchłych transakcji czy uczniowskimi kartotekami – stanowiły spuściznę głęboko zakorzenionej papierologii, myślał Daichi. Nienawidził biurokracji. System, który pragnie wszystko spisać, uwiecznić atramentem na kartce, na każdym kroku wywyższający się swą wszechwiedzą, jednocześnie okazuje się bezradny w obliczu tak odległej od skostniałej teorii rzeczywistości.

Gwałtowne uklucie. Oni tu są – Niban i Takumi. Jakie wyglądały te twarze? Daichi zapamiętał tylko lśniące w blasku księżyca, srebrne ostrza muskające jego szyję. Tamtego

dnia poranna, przekraczająca miarę niestrawność podpowiedziała mu wcześniej, by wyposażyć się w rodzinną pamiątkę – hiszpański sztylet, ponoć ze schyłku rekonkwisty. Działał w afekcie, gdy wyciągnął broń w odpowiedzi na atak, wdając się w śmiertelny taniec z rówieśnikami. Niewytrenowani, pełni animuszu oponenti ostatecznie go dorwali...tak jak i on dorwał ich.

— Wiem, czego tu szukasz. — Dźwięk odbijał się echem, znacznie utrudniając identyfikację źródła głosu. — Pytanie brzmi, po której stronie jesteś?

Daichi rozejrzał się dookoła. Na pobliskich, wijących się między masywnymi regałami alejkach dalej gościła całkowita pustka. Dwie, może trzy bibliotekarki powinny drzemać przy wejściu. Czyżby to któraś z nich? Wykluczone, na ostrzu widniało jeszcze sporo niebieskiej mazi, środek zawsze spisywał się bez zarzutów. Na dodatek głos rozbrzmiewał za nisko, nie mógł należeć do kobiety.

„Myśl poza pudełkiem, Daichi”

Unióś głowę w górę. Ujrzał miłąkłe źródło światła, kształtem przypominające gorejącą świecę. Piętrzący się regał wieńczyła siedząca sylwetka Takumiego.

„Jakim cudem wspiął się tak horrendalnie wysoko?! Przecież to...”

— Tysiąc lat zmienia człowieka, co? — Przez moment zapanowała bezszelestna cisza. Penetrowali siebie wzrokiem, tak jak robią to dawni przyjaciele podczas spotkania po latach. — Twarz podobna, kończyny z kolei nabite mięśniami, lecz niebywale zwinniejsze. Zostałeś w pierwotnym ciele, niemniej poddałeś się modyfikacjom, mam rację?

„Musiał mnie obserwować od dłuższego okresu. Czyli Wie, że mój miecz nie zabija!”

— Sztylet twojego ostrza...coś z nim nie tak. Powinieneś wiedzieć, że płytkimi cięciami nie wygrasz pojedynku, Daichi.

Jak mógł go od razu nie rozpoznać? Takich lisich oczu to ze święcą szukać! Prawie niewidoczne ślepie wzorowo współgrały z szelmowskich uśmiechem, wiecznie okrywającym lico Takumiego. Przebiegłość i tajemniczość miał wypisane na twarzy.

Nie, to nie czas i miejsce na wspominki. Daichi przybył do tej szkoły wyłącznie, by wykonać otrzymane zlecenie. Wciąż jątrząca rana przeszłości winna się zasklepić własnym, ślamazarnym tempem.

— Opuść to miejsce lub walcz ze mną — nakazał Daichi.

— Flegmatyczny jak zawsze. — Takumi podniósł kąciki warg jeszcze wyżej, odsłaniając błyszczące, wymuskane zęby. Wykonał trzy skoki po zagraconych księgami półkach i znalazł się na ziemi. Stali oko w oko, dzielił ich dystans o krztynę większy od zasięgu klingi.

Zdmuchnął świecę.

Takumi poderwał się z impetem. Świst, świst. Cięcia przemknęły w powietrzu, ten kontynuował serię ataków. Oponent nie poderwał ostrza, wyginał ciało w boki, schylał się i gibał. Sztych mieczaomalże dosięgał ciała, lecz Daichi z precyzją zegarmistrza unikał go raz za razem. Sekwencja się powtarzała, w milczeniu pozostawali wierni swoim rolom.

Ofensywa zamarła. Takumi lustrował przeciwnika oraz otoczenie, w którym się znaleźli; w ferworze walki zawędrowali do działu z dokumentami o klauzuli tajności „ściśle tajne”.

— Wolałbym nie robić tego tutaj... Eh, ta twoja waleczność, Daichi.

Ostrze mignęło – wymierzone w drewnianą półkę. Regał zawalił się, poleciał bezlik teczek i książ. Daichi błyskawicznie wyciągnął oręż z pochwy, spróbował uskoku w bok, jednocześnie odpierając kolejną serię ataków Takumiego. Przestrzeń diametralnie się kurczyła, dynamiczny pojedynek przeinaczał się w kłincz.

— Niesamowite, milczysz jak głaz. Czy przypadkiem nie istnieje rzecz, której chciałbyś się dowiedzieć? — zapytał Takumi, krzyżując miecze z przeciwnikiem. — Nie ciekawi cię to, dlaczego zaatakowaliśmy cię tysiąc lat temu?

Daichi wykrztusił z siebie mrukowate kaszlnięcie. Jego wargi na przemian rozwierały się i zamykały.

„Pamiętaj o celu. Tylko to się liczy”

Zignorował słowa Takumiego, natychmiastowo uwolnił ostrze z kłinczu. Rozpłatał jego prawe ramię – niebieskawa substancja wsiąknęła w układ krwionośny, nieubłaganie rozchodziła się po całym ciele.

Takumi zarechotał. Satysfakcja kreśliła jego lico nawet wtedy, gdy z hukiem upadł uśpiony na stos papierów i książ.

„Jak ja w tym chaosie cokolwiek znajdę?”

Postronny obserwator bez wątpienia stwierdziłby, że przez archiwum przeszedł huragan. Wałęsające się kartki, arkusze, sponiewierany regał i zapadnięte półki nasuwały na

myśl stajnię Augiasza. Mrok zakrywał całość zniszczeń, Daichi za dowód destrukcji uznał fakt, iż jego stopa z każdym krokiem napotykała makulaturę.

Stąpał ślimaczo, szukał tabliczki określającej dział, w którym przebywał. Nie spodziewał się zbrojnego oporu ze strony uczniów, a zwłaszcza – Takumiego. Powinien jak najszybciej zapomnieć o niespodziewanej konfrontacji, ku spokojowi umysłu.

Tabliczka zlokalizowana. „Projekt Przyszłość” – dokładnie tego szukał. Niestety, dział okazał się być jednym z najbardziej zdemolowanych na skutek starcia z Takumim. Daichi nie zwlekał; przycupnął, rozpoczął poszukiwania. Obraz rejestrowany przez noktowizor zatracił barwy, wszakże ujmował wydrukowane słowa.

„Pomysłodawcy... uczestnicy... skutki programu... eh, to wszystko już wiedzą!”

Rzucił okiem na następne dokumenty, nie mijała chwila, a lądowały odrzucone za jego plecami. Gdyby jakkolwiek z nich wyciekł do opinii publicznej... Daichi pośpiesznie myszkował w aktach, niczym odurzony łaknący kolejnej dawki psychoaktywnej substancji.

Upływały bezowocne minuty, frustracja się potęgowała. Całkowita niemoc. Wciąż doskwierający ból brzucha wzmagał narastającą złość. Daichi wiedział, że starcie z Takumim to preludium, część większego planu. Zawiadomił służby? Wpadłby jak śliwka w kompot. Takie rozwiązanie kolidowało z jego sposobem bycia, figurowało jako zbyt prozaiczne.

Wytlumione uderzenia w posadzkę. Rytmiczne, nabierające na głośności kroki spowodowały, że Daichi znieruchomiał. Nagle, odgłosy umilkły. Nakierował noktowizor ku leżącemu nieopodal Takumiemu. Zmaterializowała się przy nim nieznana sylwetka, nachyliła się, by sprawdzić jego oddech. Przyłożyła palec do którejś z jego kończyn, badała tętno.

„Szlag! To już zdecydowanie za dużo, pal licha zlecenie!”

Subtelnie odsunął załęgłe dokumenty i księgi, torując przejście w przeciwną stronę do tej, z której zawędrował. Profilaktycznie wymacał kieszenie, przezorny zawsze ubezpieczony. Ostatecznie skusił się, by otaksować enigmatyczną sylwetkę raz jeszcze.

Daichi, ku swojemu przerażeniu, nawiązał kontakt z parą oczu. Niban wpatrywał się w zielonkawę, nikłe światło emitowane przez noktowizor. Włączył latarkę w telefonie. Obaj wytrzeszczyli oczy.

— Daichi? Czy to ty? — Pytanie ukuło głęboko w pierś. Powtórnie ktoś zna jego imię... lecz w tym przypadku nie rozpoznaje swojego rozmówcy! Daichi słyszał, że dzwoni, ale nie wiedział, w którym kościele. Lico nieznajomego wydawało się być ulepione z

plasteliny – nadto wyidealizowane, pozbawione śladów trądziku czy wyschniętych ust, głos zaś zautomatyzowany, wyzuty z akcentu i emocji.

Niban wstał. Zachowawczym krokiem zmierzał ku rozmówcy, rozłożył rozwarłe dłonie na wysokości ramion, tak jak robi to myśliwy, starając się nie spłoszyć zwierzyny. Wysilek okazał się daremny.

Daichi pocwałował jak najdalej od Nibana, przedzierał się przez labirynt zdemolowanych regałów. Potknął się jeden, drugi raz – słyszał analogiczne dźwięki za swoimi plecami, zdyszane pojękiwania. W krzywym zwierciadle pościg przypominał błazeńską zabawę dwóch upitych hulaków.

„Przeklęty Takumi! Dał się uśpić, by ktoś zrobił robotę za niego!”

— Poczekaj! — krzyczał wielokroć Niban.

Okrążyli archiwum kilka razy, wreszcie zbliżali się do wyjścia. Daichi zostawił oponenta w tyle, kroki dudniły jeszcze w innym dziale. Nie zwlekał ze skonsumowaniem zdobytej przewagi – minął zabytkowe podwoje i zamknął je na rygiel.

Rozluźnił mięśnie i oparł się plecami o podwoje. Zamknął oczy, skupił się na powłóczyстых wdechach i wydechach, następujących w rytmicznym, powtarzalnym orydyunku. Organizm uspokajał się, osiągał stan cielesnej harmonii – homeostazy. Przeszłość przestała zlewać się w jedno z terażniejszością, czmychnęła do przepastnej otchłani, miejsca, gdzie niezmiennie przebywała.

Daichi machinalnie wyciszał dobiegające zza podwojów skromne puknięcia, które naprędce ewoluowały w intensywne uderzenia. Spiżowe drzwi sterczały w bezruchu; metal dewastował pięści, a później barki Nibana, próbującego staranować masywne podwoje. Napływ zmęczenia oraz wszechobecny ból sprawiły, że nim minęła minuta, zaprzestał walki z wiatrakami. Podobnie jak Daichi, usiadł na ziemi, wspierając się nieszczęsnymi drzwiami.

— To, co wydarzyło się tysiąc lat temu...nie powinno wyjść w taki sposób. — Niban zawiesił głos. — Takumi wszystko zaplanował. Zresztą, od początku. Pamiętasz jego siostrę? Śmierć owiana tajemnicą... Nikt nie wiedział, kto za tym stał, policja rozkładała ręce.

Nieskalany uśmiech i wiecznie płynący strumień pokrzepiających słów; Daichi uronił łezkę, wracając pamięcią do czasów, gdy Yuki jeszcze żyła.

— Miejsce zbrodni miało emanować zwyczajnością. Szkolna łazienka, brak krwi czy okrutnych narzędzi, jedynie głowa zanurzona w umywalce umykała konwenansom. Wszyscy mówili, że to samobójstwo przez podtopienie... Głośny i wesoły uczeń pograża się

w problemach psychicznych, po czym niespodziewanie targa się na swoje życie. Motyw stary jak świat, ot co. — westchnął. — Znalezione tam jeszcze jedną rzecz. A wypadaloby raczej powiedzieć, Takumi znalazł. Podobno przyuważył białą, niepozorną pigułkę polegującą na ceramicznej płytce. W laboratorium przeanalizowali jej skład, ba, określili konkretną firmę będącą producentem owego medykamentu.

Daichi rozpaczliwie przetknął ślinę.

— Brzusznna tabletkka rozkurczowa. Taka, którą zawsze nosiłeś do szkoły.

Rozmówca Nibana nabrał wody w usta. Stoicki spokój bez ustanku krasił jego lico, nieśpiesznie uporządkowujące nabyte informacje.

— Jestem pewien, że wszystko sfabrykował — kontynuował Niban. — Sam zamordował swoją siostrę. Ponadto muszę być szczery, ja też nie jestem bez winy. W życiu nie zgodziłbym się na pomoc w takim akcie, lecz Takumi obiecał mi spokój.

— Było, minęło. Zostawmy przeszłość za sobą.

Prozaiczna odpowiedź dotkliwie uządliła Nibana. Porzucić przeszłość – czyż nie odwrotnie? To właśnie ona go wykreowała, uformowała pragnienia i marzenia. Rezygnacja z niej oznaczała anihilację wszelkich fundamentów systemu wartości Nibana, a także utratę tego, co w życiu najważniejsze – celu. Nie tego wymagowanego, kłębiącego się w sferze imaginacji, lecz realnego powodu, dla którego codziennie wstawał z łóżka. Sens determinuje egzystencję.

— Zostawmy? Gdyby nie doszło do tamtej bójki, nasze życia wyglądałyby kompletnie inaczej! — Niban podniósł głos, zdzierając gardło. — Nigdy nie zdecydowałbym się na krionikę, nigdy! Takumi wpakował nas w te bagno. Myślałem, że przyszedłeś tutaj by wyrównać z nim rachunku, aczkolwiek tylko go uspiłeś. Po co tu jesteś?

Ton Nibana z każdym słowem przybierał na intensywności i gniewności. Daichi pryncypialnie zachowywał zimną krew.

— To nie tylko Takumi. Za krótko na szczegółowe wyjaśnienia, ale to nie on za wszystkim stoi — odparł niewzruszony.

— Łżesz! — Niban wstał z podłogi, wściekle uderzył w podwoje. Zdewastowana pięść zapłakała krwią. — Jeszcze chwilę temu z nim walczyłeś. Musiałeś widzieć te kłamliwe oczy, sposób, w jaki wymawia słowa. Do tego cała historia, którą ci opowiedziałem; fakt, że to on wszyscyutko zainicjował. Nie wierzysz mi?

Algorytm wrócił do normy – Daichi obcesowo skoczył na nogi, natychmiastowo rozpoczął opanowany chód. Wyczyścił świadomość, odsunął resztki myśli. Pokrzykiwania i wrzaski Nibana blakły, rozpierzchały się, nie mogąc dotrzeć do adresata.

Pustka. Nieobecność ludzkich ciał wraz z zamieszkującymi je duszami sprawiała, iż Daichi poczuł ciężącą abominację. Wystarczyło dodać dwa do dwóch, by wyciągnąć wnioski; cała szkoła została już zaalarmowana o intruzie, a nauczyciele schronili się wraz z uczniami. Czasu zostało niewiele, a przyjęte zadanie przekształciło się w awykonalną mrzonkę.

„Ważne, że mam to za sobą. Przeszłość już odeszła. Niech nastanie rewolucja”

Dysponowanie orężem z krwi i kości niesłuchanie pomogłoby Nibanowi – jednakowoż wtedy dzierżył, oprócz bambusowego kija, jedynie ciężący miecz Damoklesa. Wszędzie wrogowie. Każdy, którego poznał, dążył do spełnienia wyłącznie partykularnych interesów, negujących egzystencję kriogenicznego osiemnastolatka.

Podwoje ani drgnęły. Sfrustrowany, Niban wymierzył kurtuazyjnego kopniaka, gest wieńczący jego nierówną walkę. Wymamrotał kilka gniewnych słów, kierując się w stronę miejsca, w którym wcześniej leżał Takumi.

Natomiast najpierw zapalił światło. Skala zniszczeń przewyższyła najśmielsze oczekiwania Nibana. Wokół rozpościerała się zdeformowana przestrzeń, regałowe meblościanki leniwie się wylegiwały, przyprawione wielorakimi świstkami papieru. Połączenie terenu przypominało pobojuwisko, a zaczęło się przecież od jednego regału – reszta padła jak kostki domina.

Niban stawiał szansę na odnalezienie Takumiego pod sukcesywnie piętrzącym się znakiem zapytania. W dziale, gdzie wcześniej go odnalazł, osiemnastolatek zastał zgliszcza. Zakładając, że w tym całym rozgardiaszu zidentyfikowałby ciało Takumiego (a właściwie ewentualne pozostałości po nim), nie byłoby już czego zeskrobywać.

Nie, Takumi nie skończyłby w tak żałosny sposób. Za niemożliwe przystoi określić też, że czmychnął na własnych nogach, albowiem Niban posiadał świadectwo z pierwszej ręki. Rozcięty rękaw, zasklepiająca się blizna, nieprzytomny, lecz żywy... Jeśli nie przeniósł się na łono Abrahama, rozwiązanie musiało składać się z dodatkowych zmiennych.

Zmienne te człapały na nieodległym horyzoncie Nibana. Dwie sylwetki – muskularna oraz drobna. Na barkach pierwszej z nich spoczywało dobrze znane, znieawidzone ciało.

„Rokuro? A nawet Makoto?! Ma wszystkich po swojej stronie!”

Zaprawdę, wrogowie byli wszędzie. „Rozstrzygnijmy przeszłość w archiwum”; wiadomość tekstowa otrzymana przez Nibana tuż przed aktywacją szkolnego alarmu sprawiała pozory, jakoby Takumi wreszcie odważył się stanąć twarzą w twarz z tysiącletnim oponentem. Próżne oczekiwania.

„Ten jeden raz, bez emocji. Postawmy na finezję i skuteczność”

Dystans: dwie meblościanki. Niemy krok, wtem kolejny i kolejny, oponenti wciąż nierozeznani. Progres: oddech jednego z celów stał się słyszalny. Osilek zadyszany, wielkie cielsko z nikłą kondycją, chucherko z kolei rozgląda się na boki. Pozostała odległość: trzy klingi. Makoto i Rokuro wchodzą w zasięg bambusowego oręża. Szansa na ogłuszenie oscyluje w promilach.

Następuje realizacja oczekiwanych uderzeń. Bambus głucho odbija się od łysiny osiłka. Pierwszy cel zneutralizowany. Makoto rozdziawia usta – smętne słowa znajdują tylko uszy samego nadawcy. Bonk. Chucherko powalone.

Takumi opadł, przygniatając cielsko swojego byłego nosiciela. Rękaw nierozpłataney ręki został wcześniej wysoko podwinięty. W przegubie łokcia skóra niezdrowo się zarumieniła, Niban szukał źródła – skromna kropeczka w centrum czerwonawej osobliwości, ślad po strzykawce ze środkiem pobudzającym.

Niban posadził Takumiego obok nienaruszonego regału, po czym wyciągnął pasek ze spodni oponenta w celu związania go. Trzy supły, unieszkodliwienie zakończone.

Zwycięstwo? Przenigdy. Niban oczekiwał, aż Takumi powróci z objęć Morfeusza do rzeczywistości. Ku jego uciesze, oczy związanego nieznacznie drgnęły. Prawie niewidoczne, z bliska odkrywały skrzętnie schowaną źrenicę.

— Dlaczego zamordowałeś Yuki? Jak mogłeś kłamać, mówiąc, że to Daichi ją zabił?!
— Furia przemawiała przez pytania Nibana. — Z jakiej przyczyny on cię usprawiedliwia?

— Jesteście marnym eksperymentem, którego termin ważności za chwilę się skończy. Rząd chce rewolucji. — Spokojnie przełknął ślinę. — Rewolucji przeciw transferowanym. Tym, którzy nie mają prawa nazywać się ludźmi.

— Odpowiadaj!

Cisnął pięścią w lewy bark Takumiego.

— Zdajesz sobie sprawę, ile kosztuje tysiącletnia kronika? Gdyby nie dobroć rządu, nawet nasze prawniki nie spłaciłyby całego długu — kontynuował tyradę. — Daichi nie miał takiego szczęścia. Biedak musi harować całe życie na niebezpiecznych zleceniach.

Współczuję mu, ot co. — Lekko się przekręcił, próbował bezskutecznie poluzować pasek uciskający nadgarstki. Niban skarcił go groźącym spojrzeniem. — Yuki była bezcenna. I to dosłownie.

— Mów bez ogródek!

— W zamian za całą tę akcję z dziewczyną, a następnie z wami...otrzymałem coś w rodzaju bonu. Mogę poddać się krionice w każdej chwili, na tyle, ile tylko pragnę. Wielkie możliwości, co? Setki, tysiące, a nawet miliony lat. Jeszcze sam nie wybrałem, w jakich czasach chcę żyć! Chciałbyś doradzić staremu koledze?

— Jakim prawem zostałeś wynagrodzony za tak plugawe zachowanie? — Niban ukajał nerwy. Zdawało mu się, iż pojął wszystkie grzechy świata.

— Ha, nic prostszego. Brakowało im takich jak my do badań. Rzeńskich, nastoletnich organizmów poddanych krionice. Bo któż umiera tak młodo z przyczyn naturalnych? A nawet jeśli, to z pewnością nie myśląc wcześniej o krionice! Możesz być dumny, dzięki tobie technologia poszła do przodu.

Żądza zemsty zdążyła wyparować. Takumi dokonał większego zła, niż podejrzewał Niban – okrutnie skrzywdził innych w imię osobistych korzyści. Nic innego jak czysta wola przetrwania, pomyślał. Los oświeśla nielicznych, a kryteria owej selekcji pozostają nieznanne, lecz można zaistnieć w cieniu zwycięzców. Wystarczy walczyć.

Nie bez powodu Gnejusz Pompejusz otrzymał przydomek Wielki.